Rozmaitości

Dnia 13. Maja Nr 19. 1837 Roku.

MOJA PODRÓŻ

Z PARYŻA DO MARSYLII.

Z dziennika: *Europa.*

Od lat cztérdziestu zrobiliśmy we wszystkiém wielkie postępy, wyjąwszy w sposobie podróżowania. Dyliżans pozostał w nieszczęśliwym *statu quo;* jakim był przed lat dwudziestu, takim jest i dzisiaj. W Paryżu wymyślają codzień nowe rodzaje powozów; wynaleziono powozy zwane *Malle-Post*, które w trzech dniach z Paryża do Marsylii pędzą, *Sfinxy*, które w trzydziestu sześciu godzinach od brzegów Afryki do Tulonu lecą; kopano kanały i porty, lecz co do dyliżansów, na tém tylko ograniczono się, że je żółtą pomalowano farbą, miasto co dawniéj zielono wyglądały. Tu zaiste nie postąpiono naprzód, lecz raczéj wstecz się cofnięto... Często śmiałem się z mojego ojca, pomyślawszy sobie, jak on podróże odbywał. Gdy się wybiérał w drogę, to już dniem wprzódy smarowano i pakowano staroświecką landarę. Brał z sobą jaszczyk bigosu, z pół kopy świéżo upieczonych pirogów, ćwiertówkę masła i kilka bochnów chleba, uściskał, ucałował swoję rodzinę, a wezwawszy Boga na pomoc wyjeżdzał ze świtem. Skoro tylko zmrok padać zaczął, stawał w znanéj gospodzie, zjadał porządną wieczerzę i kładł się do wygodnego łóżka, by nazajutrz znowu o wschodzie słońca w dalszą ruszyć drogę. Tym sposobem czérstwo i zdrowo przybywał do zamierzonego miejsca, i nie będąc podróżą strudzonym, mógł zaraz, wysiadłszy z powozu, pójść za swojemi interesami. A teraz posłuchajmy, co od tego czasu pod względem podróżowania nowego powymyślano. Podróże w dzisiejszym czasie (przynajmniéj za granicą) są zupełnie odmienne od podróżowania poczciwych ojców naszych. Oto patrzmy jak Francuzi podróżują:

Wynaleźli oni powóz ze cztérema oddziałami. W środku *(coupé)* siedzi trzech podróżnych, sześciu w tak zwaném *interieur* (wewnątrz), cztérech w tak zwanéj *rotundzie*, a na wiérzchu powozu, w *imperiale*, ile się zmieści. Nie jedna włość we Francyi nie jest tak zaludniona, jak dyliżans. Podróżnych uważają za żywy ładunek, których przyjmują tylko w dodatku do ładunku kilku tysięcy nieżywych cetnarów. Daleko więcéj niżli dla żywych okazują względności dla nieżywych!

Żywe cetnary mieszczą się jak mogą i mieszają razem swoje nogi, ręce, psy, płaszcze, szale, boa i t. p.; a tę mieszaninę kości i ciał prowadzi dyliżans z odurzającym turkotem kół, z brzękiem łańcuchów, z kołataniem, dzwonieniem, trzaskaniem z bicza, zgoła z całym zgiełkiem stajennéj orkiestry.

Wyjechawszy za miasto, gdzie już nié ma nikogo, coby się dziwił hałasującemu ruchowi dyliżansu, wolnieje zapał w koniach, stajenna orkiestra spada na *piano*, postylion idzie piechoto, a telega dyliżansowa jednostajnie i spokojnie jak żółw' naprzód się wlecze. Tu dopiéro zaczynają się użalania i skargi, przy których znane żale Jeremiasza, zaledwo kawatyną z opery komicznéj wydaćby się mogły. Zdarzyło się, że zeszłego lata jechałem z Paryża do Marsylii w ten sposób i umieszczę tu krótkie opisanie téj podróży.

Jużeśmy ze sześć godzin jechali, gdy jeden ze współ-towarzyszów téj bolesnéj podróży zapytał z nieśmiałością konduktora, czy wnet będziemy jeść obiad.

Grubym, burczącym głosem odpowiedział konduktor: »O godz. 2giéj w Fontainebleau.«

»Ach! w Fontainebleau!« powtórzył cały chór podróżnych i każdy szukał własnych nóg, które się tu i ówdzie zabłąkały.

Stanęliśmy nareszcie w Fontainebleau. Najprzód wniesiono jakąś bezimienną zupę i kilka pokrytych tajemnicą półmisków; poczém zastawiono pieczenię pływającą w tłustości, a jako stojący artykuł, komput z owoców. Zaledwo talerze z komputem, wieczny składające *dessert*, jak z nieba na stół spadły, wleciał konduktor, który zdawało się, że miał polecenie czuwać nad nietykalnością komputu i krzyknął: »*Allons*, moi panowie, pojedziemy! Drogi złe i zaniedbaliśmy godzinę, którą teraz nagrodzić musimy.«

Na te wyrazy nieszczęśliwi podróżni wszyscy zerwali się razem, powypijali jak tylko można najprędzéj resztki swojego wina i poskoczyli do powozu, każdy z biszkoktem w ręku. Zwyczajnie pada dészcz w Fontainebleau i nim się usadowiono, przemokliśmy do nitki. Wyjeżdzając z miasta leci postylion, jak szalony. Podróżni podziwiają las za Fontainebleau i cieszą się, gdy w przejeździe jelenia lub sarnę dostrzedz się im zdarzy; przy téj zabawie zapominają o złym obiedzie. Gościniec bity kończy się, dostajemy się na tłustą ziemię i znowu powóz dawnym sposobem powoli kołysać się zaczyna; tu każdy trawi swój biszkokt. O godzinie jedénastéj wieczorem dostajemy się do Montargis.

»Ach! tu przecież wieczerzę jeść będziemy,« odzywa się głos jeden.

Podeszła jéjmość wystawia jak z ramek głowę swoję przez drzwiczki dyliżansu i z pospiechem przemawia do konduktora, który właśnie na długim rzemieniu z wiérzchu powozu się spuszcza. »*Monsieur!*« woła cienkim zgłodniałym głosem, »wszak prawda, że tu wieczerzać będziemy.

»Napijemy się tylko bulijonu,« odpowiedział konduktor. — Powszechne przerażenie.

Wysiadamy, wchodzimy do zajezdnego domu i przedziéramy się przez kuchnię, gdzie wrą kipiące garnki i rożny się obracają; ale nas prowadzą do osobnej sali na bulijon. Na pokostowanym stole długości stóp dwudziestu zastawiono cztéry wazy z gorącą wodą, czémsić żółto zafarbowaną. Dziéwka dźwiga nieforemny i jak kamień twardy bochen, uszlachetniony nazwiskiem chleba. Myśl do rozpaczy przyprowadzająca! Właściwego do jedzenia zdatnego chleba na całéj drodze nie dostanie. Zamyślacie zakładać koleje żelazne; poczciwi ludzie postarajcie się piérwej o chléb i rosół! Pielgrzym do sytości naje się pod namiotem Araba; we Francyi musi podróżny ginąć z głodu, choćby miał nawet pełny trzos pieniędzy.

Nie jadłszy téj bulijonem zwanéj zafarbowanéj wody, opuszczamy Montargis; północ właśnie; zasypiamy na kilka minut i marzymy o dobrém jadle. Teraz zaczynają się owe męki piekielne, o jakich Dante w swojém *Piekle* zapomniał; jestto głód z bezsennością połączony; kto chce tego doświadczyć, niech, nie licząc poczesnego dla postylionów, siedmdziesiąt pięć franków zapłaci. Numer drugi zdrzymał się cokolwiek, ale kiwająca się głowa numeru piątego prostopadle w nos go uderza; numera piąte są zwykle dobréj tuszy. Odzywano się to z wyrazami: »Przepraszam pana,« to: »O nic nie szkodzi, bardzo proszę,« i rozmowę tę słychać śród ciemności przez noc całą. Około ranku sen tak wielką moc wywarł, że wszystkie sześć numerów razem zasypiają i zaczynają chrapać. Teraz dopiéro sześć głów karambolowały w prawo i w lewo, jak kule bilarowe. Jestto widowisko mogące ludzkość poruszyć.

W dyliżansie zdaje się, że dzień ani myśli zaświtać, że słońce wzejść zapomniało. W szarzącym się zmroku przedświtu odzywa się żałośliwy głosik: »Którato będzie godzina?« Na to daje się słyszeć zégarek z repetycyjami i zaczyna bić: raz, dwa, trzy, aż do pietnastu. Właściciel zégarka przemawia: »Źle bije, a dopiéro wczoraj kupiłem go w *Palais-royal.*«

»*Palais-royal* bardzo podupada,« zrobił uwagę podróżujący kupiec i na raz budząc się wszyscy, zaczynają robić przegląd swoich członków: »Nóg nie czuję!« — »Przeklęcie nacisnąłem sobie głowę! — »Ach! ramię! ramię!« — »Brzuch mój!« — »Jestem jakby kołem połamany!« Ogólny chór: »Okropna noc!«

Słychać chrapanie konduktora i ledwiebyś nie sądził, że nawet konie zasnęły i chrapią, tak mechanicznie krok za krokiem po znanym dobrze wleką się gościńcu. Cztéry narożne numera wyściubiają głowy przez okienka,

patrzą czy słońce nie wschodzi i cieszą się gwiazdami, jeźli je widać. Numera piąty i szósty z rozpaczy czépiają się skóry, wiszącéj u pudła powozu i nadstawiają głowy ku sobie, jak gdyby dwa barany na łące, które w tryxy iść z sobą zamiérzają.

Nareszcie robi się dzień, by spustoszenie nocy oświécił. Wydaje się nam, że zstąpiwszy do egipskiego grobu odkryliśmy tam sześć mumij. Jeden drugiego z powodu brzydkiego wyglądania o przebaczenie prosi.

Teraz przybyliśmy do Briare. »Ach! tu w Briare jest kanał do widzenia,« rzecze westchnąwszy podróżujący kupiec.

»Czy będziemy tu śniadać?« zapytał numer szósty. Ten numer jest najnieszczęśliwszy ze wszystkich. Gdyby w kodexie karnym była ustawa, skazująca zbrodniarza na zostanie numerem szóstym, należałoby z miłości bliźniego znieść tę ustawę.

»Wypijemy duszkiem po filiżance kawy,« rzecze konduktor, »za to w Moulins lepszy obiad zjemy.«

»A kiedyż dostaniemy się do tego Moulins?« zapytał znowu numer szósty.

»Najdaléj za pietnaście godzin,« odpowiada postylion, szczéry przyjaciel koni, a zabity wróg podróżnych.

»Ależto nie do wytrzymania!« odzywa się znowu jeden z numerów.

»Tymczasem napijemy się kawy,« rzecze perswadując podróżujący kupiec.

Aż do Lugdunu, dokąd się po trzech bezsennych nocach przybywa, trzeba cierpieć głód przez dni cztéry; okropna wieczność męczarni. Opuściłem tu jeszcze owe wszystkie niezliczone przyjemności, jakie wytrzymać przychodzi w ciągu podróży, słuchając rozmów o gatunkach wina, o lugduńskich towarach bławatnych, o nowych *voudevillach* paryzkich; opuściłem możność być wystawionym na przewrócenie się dyliżansu, na zostanie napadniętym przez włóczęgów, na złamanie koła, lub na inne podobne wypadki, których przezorność administracyi pocztowéj zaradczo przewidzieć nie może. Stanąwszy w Lugdunie zostajemy okryci tajemniczą gęstéj mgły zasłoną. Przy *table d'hôte* dowiadujemy się, że jedwab spadł w cenie, ponieważ ze Stanów Zjedn. nie zamówiono towarów, że Saona wezbrała, że łuk jednego mostu się zapadł, że zasypanego w studni wyrobnika dotąd jeszcze nie odkopano*), i że okręt parowy w powietrze wyleciał. W Lugdunie trzeba zawsze usłyszéć o jakiémś nieszczęściu. Lugdun jestto Orestes pomiędzy miastami.

Dwie są drogi chcąc jechać daléj z Lugdunu: wodą i lądem. Jakże się mamy za szczęśliwych, gdy porzucając dyliżans, możemy raz przecie dostać się na statek parowy! Bat pocztowy odchodzi o godzinie piątéj z rana; wybornie! Za jedénaście godzin dostaniemy się do Awinionu; co za rozkosz nieporównana!

»Zkąd odbijemy od lądu?«

»Ztąd nie daleko.«

Kładziemy się wcześno spać, bo temu despocie snowi trzeba raz przecież winny złożyć haracz. Lecz krew za nadto wzburzona i niepodobna zasnąć przed północą. Nagle zadrzały drzwi pod razami stukającego posługacza oberzy. Zrywamy się z łóżka. Posługacz woła przeze drzwi: »Proszę wstać i wziąć z sobą świécę!» — »Któraźto godzina?« — »Pół do trzeciéj.« — »Przebóg! dopiéro!«

Teraz podróżny, wraz z tłumoczkiem, musi przy świetle ciemnéj latarki odprawić wędrówkę przez całą długość obszérnego Lugdunu; wyszedłszy za miasto idzie się przedmieściem, a z przedmieścia kawałkiem pola, podobnego z kształtu do bóta, jak nam Włochy na mapie wyobrażają. Pole to zdaje się nie miéć końca. Nareszcie przybywamy do pocztowego statku. Wsiadamy, statek odbija od lądu i szybkość jego jest tą razą prawdziwie zadziwiającą; jestto coś więcéj niż czwał konia, więcéj niż strzała, niż orzeł, jestto błyskawica!

Wołamy o śniadanie; przynoszą coś w filiżance, coby satyrą na kawę nazwać można; wyciągamy się w ładném poręczowém krześle, błogosławimy starożytnego boga Rodanu i mniemamy się szczęśliwymi. Na raz trzasnęło coś w tramie, statek podskoczył i filiżanka z rąk mi wypadła. »Czyś my tylko w powietrze nie wylecieli?!« rzecze jeden z podróżnych. Jaki taki poruszył się mimo woli, żołniérze spiéwali, ale na naszych twarzach malowała się bladość śmiertelna. Za mało było wody, statek osiadł na dnie rzéki i trzeba go

*) Jest tu mowa o przypadku Dufawela, zasypanego w studni lugduńskiéj r. 1836, a o którym w tymże roku było doniesienie w Nrch 47. i 49. Rozmaitości naszych. (Przyp. Red.)

było ulotnić. Jestto praca Rzymian godna. Kapitan prosi podróżnych, by dla ulżenia statkowi na pustą wyspę przewieść się dali. Pięćdziesiąt Robinsonów wskakuje do szałupy; czasem wywraca się szałupa, a wtedy dobrze pływający filantropowie mogą złote medale zarobić. W tych stronach, jeźli dészcz nie pada, to zwykle wieje wiatr mroźny. Mieszkańcy pustéj wyspy robią namioty z swych płaszczów i porozumiewają się z ugrząźnionym statkiem za pomocą telegraficznych znaków. Przysyłają im suchary i rum. Kapitan klnie na czém świat stoi i woła o konie. Ustała para na statku, a tymczasem przyprowadzają cztéry szkapy, dla wprawienia w ruch machiny o sile stu dwudziestu koni. Po cztéro-godzinnych natężeniach i trudach przybywa nakoniec roztropna rzéka ludziom w pomoc; Rodan jednym palcem trąca machinę, a ta pędzi z miejsca jak strzała. Radość powszechna zajmuje umysły wszystkich, na cześć Rodanu wydają pochwalne okrzyki, jeden drugiemu winszuje, a matki ze łzami w oczach ściskają swoje dzieci. Tego przyjemnego wypadku trzy razy w dniu jednym doznawałem.

Głos jeden. »Widzę, że dziś wieczorem nie staniemy w Awinionie.«

Odpowiedź. »Zatrzymamy się w Roquemaure, albo w Pont St. Esprit.«

»Co? To my Pont St. Esprit przebywać będziemy?« zawołała jedna dama i zbladła.

»Nie można inaczéj.«

»Boże w niebiesiech, zmiłuj się nad nami!«

Pont St. Esprit jestto Charybdys i Scylla. Ten most straszliwy opasuje cały Rodan łukiem na stóp trzydzieści. Teraz okropna zbliża się chwila; przy kotle siedzący majtek przybiera surowe rysy twarzy; kapitan wstępuje na podwyższenie, stérnik zwraca szczególną uwagę na złowieszczy łuk, który zdaje się, że jest wyższy, niż statek; Rodan szumi, jak wodospad; wszyscy podróżni schylają głowy; damy zamykają oczy... statek ruszył... obzieramy się... już most daleko za nami..... Ten Pont St. Esprit jest w istocie lepszy od swojéj sławy.

Na widokręgu wznosi się teraz olbrzymia wieża Awinionu; lecz jestto Mojżeszowi przyobiecana ziemia; podróżni nie mogąc tam zdążyć, muszą w Roquemaure zanocować. Pięćdziesiąt osób jest na statku parowym, a tylko cztérech łóżek dostanie w domu zajezdnym w Roquemaure. Przypuszczamy atak do wioski; każdy dom służy za gospodę. Rozścielają słomę na nocleg; jedzą potrawkę z różnych mięsiw i z rozrzewnieniem wzdychają za zwierzyną; przechadzają się przez większą część nocy; oglądają starożytności, zawaloną wieżę na szczycie skały. Anglicy rysują wiele przedmiotów i dostają kataru. Ze świtem płyniemy do Awinionu.

W Awinionie dwiestu drążników ciśnie się do okrętu, przemocą przywłaszczają sobie rzeczy nasze i zanoszą je do zajezdnych domów. Podróżni muszą potém biegać od jednéj do drugiéj gospody, by swoje rzeczy odszukać. Za niesienie parasola, który cały wart może dziesięć sous, trzeba drążnikowi franka zapłacić. Prefekt potwierdził taxę, lecz podróżni bynajmniéj potwierdzić jéj nie mogą.

Nie wszyscy tu podróżni wysiedli; powiadają, że statek natychmiast do Marsylii odpłynie; zostajemy przeto na pokładzie. Przybywamy do Arles, lecz tam dowiadujemy się, że nie do Marsylii płyniemy. Zmuszeni jesteśmy przesiąść na pokład wielkiego parowego brygu, zwanego: *Le commerce.* Cóż robić, trzeba i na to przystać. Zaledwo bryg odbył dwie godzin żeglugi, już zaczęto powątpiewać, czy można będzie przez ujście Rodanu przepłynąć. »A jeźli nie przepłyniemy?« — »To jeszcze dziś wieczorem, lub jutro jak najraniéj powrócimy do Arles.«

Przepłynęliśmy jednak przez ujście i jesteśmy na Śródziemném Morzu. Podróżni, jak za zwyczaj, dostają choroby morskiéj. Damy schodzą na dół statku i usiadają na ładunku budowniczych kamieni z Arles. Zaiste twarde siedzenie. Jak na szczęście wszyscy tém się pocieszamy, że choć przed wieczorem staniemy w Marsylii. Ale noc się zbliża, a do Marsylii bardzo jeszcze daleko. Tymczasem zrywa się burza. »Jestto (odzywa się jedna z dam) rzecz nader nieprzyjemna doświadczyć burzy i odbyć chorobę morską, kiedy się już jechało gościńcem z Paryża; lecz mniejsza, gdy się już to wszystko przebyło; nieprzyjemności te wynagrodzi nam nocleg w Marsylii.«

»W Bouc zarzucimy kotwicę,« rzekł na to jak najobojętniéj kapitan.

»Cóżto za Bouc?« krzyknęli wszyscy podróżni.

Bouc jestto mieścina z portem, składająca się z trzech domów, z których dwa nie są zamieszkałe, z siedmiu wzgórzów, jak Rzym, i z portu bez okrętów. Pięćdziesięciu podróżnych podzieliło się dwoma łóżkami i jedną pieczenią baranią, cuchnącą czosnkiem. Ze świtem płyniemy żywo do Marsylii. Dieta, bezsenne nocy i choroba morska przenoszą nas w pewny stan marzeń na jawie; zdaje się nam, że jesteśmy na otwartém morzu, a w pogmatwanéj myśli snują się nam Briare, Moulins, robotnicy przy fabrykach lugduńskich, Roquemaure, Rodan, konduktorowie, postyliony i konie. Płyniemy koło okrętów, które z Indyj powracają. Dla uzupełnienia tych marzeń, zawijamy do ogromnego portu, a urząd zdrowia nie kazawszy nas przypuścić, zapytuje piérwéj, ażali morowéj zarazy nie wieziemy z sobą na pokładzie.

Tak blizcy celu podróży, jeszcze jesteśmy w obawie, czy nam nie przyjdzie kwarantannę odbywać. Ale tą razą kończy się tylko na przestrachu i nareszcie w imię Boskie przybijamy do lądu w Marsylii.

A teraz zapytajmy się samych siebie, czy mamy prawo śmiać się ze sposobu podróżowania ojców naszych? — Koleje żelazne usuną zapewne wszystkie te niedogodności, a wnucy nasi będą bez wątpienia daleko od nas szczęśliwsi.

BASIA I ROZIA.

Przez autorkę *Pamiątki po dobréj matce.**)

I.

Była razu jednego w ubogiéj chatce poczciwa komornica, która po całych dniach prządła, kaszlała i paciérz mówiła. Pięćdziesiąt lat już miała wprawdzie, jednak ciężka praca i biéda cięższa jeszcze sprawiły, że zestarzała się zupełnie przed czasem. Twarz jéj była zmarszczona, plecy wypukłe, głowa trzęsąca się, włos biały. Babulą w całéj wsi ją zwano; ona przecież babulą nie była; miała dwie córki zaledwo dorosłe, i to było jéj bogactwo.

Basia starsza siedemnasty rok kończyła.

Rózia młodsza szesnasty zaczęła.

W wełnianéj spodniczce i kamlotowym gorsecie obie śliczne były; cobyto było w gazie i jedwabiu!

Dwa kołowrotki, krowa, kur kilka, to był dobytek ich cały. Babula nie odchodziła swojéj kądzieli, a obie siostry każda z kolei, dziś Basia jutro Rózia chodziły do blizkiego miasteczka przedawać na targu mleko i jaja; ta co nie szła prządła obok matki, a babula tak jednéj jak drugiéj mawiała codzień: »Prządźmy dziéweczko moja, prządźmy, prządźmy nie tracąc odwagi; wróci on, wróci, śnił mi się, i stary pastuch tak twierdzi; wróci bogatszy od króla, da wam posag, mężów wynajdzie. Prządźmy dziéweczko moja, prządźmy; ja pacierze mówić będę, a ty postępuj dobrze.«

Coto chciała powiedzieć babula?

Oto niegdyś miała brata Antoniego, był flisem, potém od Wisły morza mu się zachciało; wsiadł na okręt, pojechał daleko, do Indyjów; a nim odjechał, powiedział siostrze, która wtedy młodą była: »Idź za mąż, ja majątek zrobię, wrócę i wyposażę córki twoje.«

Babula poszła za mąż, urodziła dwie córki, owdowiała, a Antoni nie wracał.

II.

Jedna masło robiła, druga zbiérała śmietanę...

»Czego płaczesz Rózin?«

»Nie wiém sama, Basiu... markotno mi.

»Czy cię matka połajała?«

»Nie — ale nie będę miała trzewików na niedzielę, ani wstążek czerwonych do warkoczy.«

»Matce ciepłéj spodnicy na zimę potrzeba, kaftanik już dziurawy; zaniechajmy tańca Róziu!«

»Zaniechajmy tańca!... ach, Boże! jaka to biéda być ubogą.«

Rózia lubiła wstążki i taniec przed wszystkiém; u Basi matka była najpiérwszą. Prawda, że Rózia była piękniéjszą, ale wszyscy mówili: Basia roztropniéjsza.

III.

Jednego razu, wielka nowina we wsi. Dawny dziedzic gdzieś daleko umarł, a teraz przybywa nowy. Nie ma on herbów, tytułów, ale złota pełne trzosy, i lat dwadzieścia i cztéry. Przytém dorodny, uprzejmy.

Piérwszego dnia dziedzic spoczywa. Mówią też, że z daleka przyjechał.

Drugiego — pola objeżdża.

Trzeciego — jedzie do lasów.

Czwartego — ryby łowić każe.

Piatego — ma odwiédzić plebana.

Tego dnia wiatr był zimny, babula bardzo kaszlała i położyła się przed wieczorem.

Basia poszła do miasteczka; Rózia pilnowała domu, kądzieli i komina.

Zamyślona, a podobno i rozdąsana Rózia Bóg wié jak kołowrotek obracała: myślała o tańcach i o tancerzach, o przędzy bynajmniéj.

*) Powiastkę tę pani z Tańskich Hoffmanowéj, wyjmujemy z noworocznika lipskiego: *Melitele* na r. 1837, chcąc raz jeszcze zwrócić uwagę czytającéj publiczności naszéj na ten wyszczególniający się płód piękněj literatury, nie tyle znany, ile na to powszechnie pod każdym względem zasługuje. (Obszérniejszą wiadomość o tym noworoczniku daliśmy już w N. 2. Rozmaitości naszych z r. b.) (Przyp. Red.)

Drzwi chat ubogich źle domykają; tam gdzie dziewczyna o tańcu duma, a matka drzymie, wejść łatwo po cichu.

I tak się stało. Klamka się podniosła i spadła, a nikt nie usłyszał. Dopiéro kiedy Rózia oczy podniosła, krzyknęła: »Matko!... dziedzic...« i upuściła wrzeciono.

IV.

Dziedzic, bo to on był, podniósł wrzeciono, ale nie oddał; nie byłato chwila przędzenia.

Wziął stołek, usiadł przy Rózi, wziął ją za rękę i tak mile patrzył na nią; że wnet wszelki strach ją odszedł.

»Czego Wielmożny Pan chce ode mnie?«

»Ja nie twój pan, śliczna dziewczyno, ale ty jeźli zechcesz panią moją będziesz.«

Rózia na te słowa spuściła oczy, ale nadstawiła ucha. Dziedzic przypatrywał się jéj pilnie; spojrzenie jego było czułe, mowa pochlebna, a babula drzymała.

»Czyżto dla takiéj piękněj dziewczyny ten ubior, ta praca, to mieszkanie... porzuć to wszystko i kochaj mnie. Zawiozę cię do stolicy, będziesz miała perły, szale, koronki, będziesz mieszkać w pałacu i jezdzić karetą. Co? dobrze?«

Rózia zczerwieniła się i zadumała, serce bić jéj mocno zaczęło, a dziedzic ją głaskał po ramieniu i ściskał za rękę.

Babula zakaszlała, zadzwoniono na *anioł pański*. Rózia wstała, wyrwała rękę, a kładąc palec na ustach rzekła: «Jutro jak tylko wypędzą w pole, pójdę drogą przez las do miasta.«

Młodzieńcowi dosyć było na raz piérwszy.

V.

Nazajutrz babula jeszcze więcéj ciérpiała; Rózia poszła do miasta, Basia z kolei pilnowała domu i przędła.

»Co téj Rózi było w głowie,« powiedziała na widok potarganéj kądzieli i pogmatwanéj przędzy, »młodeto jeszcze, wybaczyć trzeba, uprząść i za nią i za siebie, żeby matka nie łajała,« a śpiewając to pieśni, to piosenki, przędła co prędzéj.

Nad wieczorem usłyszała drzwi otwiérające się i zawołała: »Kto tam?«

»Swój,« powiedział dziedzic i wszedł.

Basia zdziwiła się i chciała obudzić matkę, ale dziedzic ją zatrzymał; a gdy go spytała czego żąda? on jéj powtórzył słowo w słowo, co wczoraj Rózi powiedział, i to samo jéj dać przyrzekał. Basia zarumieniła się, jakby krwią oblana i łza wstydu oczy jéj zaćmiła.

»Niech sobie Pan nie żartuje,« mówiła, »niech mi krzywdy nie czyni; jam uboga, ale uczciwa, a nad góry złote wolę matkę i świadectwo sumienia.« Jak poprzedniego wieczora, tak i tego, młodzieńcowi dosyć na tém było.

VI.

Nadeszła niedziela, Babula zdrowsza była. I ona i córki obie wróciły z kościoła; w tém ktoś kołacze do chaty.

»O Boże! czy nie wójt o jaką szkodę?«

W ubóstwie wszystko lęka; nieszczęście kołacze często, fortuna prawie nigdy.

Rózia wybiega... »Matko, pan jakiś!«

Byłto lokaj, ale w galonach; Rózia się pomyliła.

Posłaniec galonowany list przyniósł... list do babuli; rzecz niesłychana.

»Królowa nieba i ziemi!« krzyknęła babula; złoto mi się dziś śniło; to pewno od brata Antoniego nowiny. Róziu, biegaj po organistę!«

Lokaj zniknął, organista wnet przyszedł. Włożył okulary, wziął list i czyta!... ale niestety! smutek zamiast radości... brat Antoni umarł.

Kiedy matka i córki płaczą, a organista cieszy jak może, powóz cztérokonny zajeżdża przed chatę, młody pan wysiada; dwóch lokajów za nim; wchodzi... to znowu dziedzic. Basia blednieje, Rózia się rumieni. Babula chce wstać, ale on jéj nie daje, i sam się do nóg jéj rzuca.

Byłto syn Antoniego, Ludwik.

Któż opisze zadziwienia dwóch sióstr, radość matki, organisty zadumienie?...

Ludwik przywiózł testament ojca, a w nim takie słowa: »Cały mój majątek zostawiam jedynemu »synowi, pod warunkiem, żeby się ożenił z jedną »córką mojéj siostry, drugą wyposażył.«

Babula tylko dwie córki miała.

Ludwik chciał dobry wybór uczynić.

»Spodziéwam się, że mnie wezmie,« pomyślała Rózia, »nie odrzuciłam jego ofiar.«

»Pewno nie mnie,« powiedziała w sobie Basia, »zapewne się gniewa.«

»Ano! panie bratanku, którąż wybierzesz?«

Jużci ładniéjszą.

»Roztropniejszą!« zawołał Ludwik. Resztę tajemnicy zachował.

Basia otrzymała nagrodę skromności swojéj i wstydu. Potrafiła być panią w téj saméj wsi, gdzie była ubogą dziewczyną. Rózi byłato piérwsza i ostatnia płochość; dostała także dobrego męża.

Babula śród obfitości i szczęścia kaszlać przestała; przędła i modliła się zawsze.

ZWIÉRZĘ MORAŁ SYBERYJSKI.

Morał syberyjski ze składu ciała zupełnie podobny do sarny, rogi ma większe od jelenia, lecz równie rozłożyste; roślejszy jest od łosia, z tyłu ma białą piamę; podobno tylko w ałtajskich i sajańskich górach przebywa. Sławny badacz natury Humboldt, odbywając podróże naukowe po Syberyi, w zwierzyńcu jenerała de Saint-Laurent, gubernatora Omska, widział *morała*, powalonego sam rozmierzał, rysunek zrobić kazał i wy-

znał, iż dotąd nigdzie podobnego gatunku zwierząt widzieć mu się nie zdarzyło. *Morały* dają się oswoić i chować je można jak bydło domowe; liczna dosyć trzoda znajduje się u gubernatora irkuckiego. Chińczycy zakupują, i dosyć drogo płacą, bo niekiedy po 400 rubl. ass. (80 złr. m. k.), ich zronione rogi; wielki handel niemi w kraju swoim prowadzą. podobno do użytku w sztuce lekarskiéj. *(Wiadom. o Syberyi,* tom I. str. 136.*)*

Z Pragi. Wyszedł *Czasopisma czeskiego muzeum* zeszyt 1szy na r. 1837, i zamyka w sobie: 1) Przemowa. 2) Sprawy o duchu naszego czasu, przez dr. K. Amerlinga. 3) O ziemi zwanéj Bojki, przez P. J. Szafarzyka (ma nią być część Galicyi pod-karpacka, gdzie się dotąd nazwa Bojków utrzymuje). 4) Podobizna *Czarnoboga* w Bambergu, przez tegoż. (Wynaleziony został posąg Czarnoboga w Bambergu, przez uczonego Kollara. Jestto bałwan kamienny, przedstawiający bożka w postaci drapieżnego zwierzęcia i noszący na sobie napis sławiańsko-polski: *Czarny Bóg*. Stoi on dotąd przy drzwiach głównego kościoła w Bambergu, dokąd miał go sprowadzić Sty Otto, apostoł Sławian pomorskich; tak jako i drugi podobny bałwan stojący naprzeciw opisanego. Jestto pamiątka bałwochwalcza sławiańska, godna, aby wszystkich Sławian zajęła.) 5) Badawcza rozmowa o nazwie Sławian, przez F. L. Czelakowskiego. 6) Porównanie prawodawstwa Stefana Duszana Serbskiego z najstarszémi urządzeniami ziemskiemi w Czechach, przez F. Palackiego. 7) Kaziciel czeskiej mowy; zbiérka piérwsza. 8) Literackie sprawy: *a)* A. Boczka *Codex diplom. et epist. Moraviae. b)* J. V. Krumbholza: *Powszechne doniesienie o azyjatyckiéj cholerze* (po niemiecku, w Pradze). *c)* V. Babukicza: *Osnowa Gramatyki sławiańskiéj narzecza iliryjskiego. d) Sbornik* (Zbiéracz) *Muchanowa*, wydany w Moskwie r. 1836. *e) Wiosna*, noworocznik czeski, na r. 1837. *f)* Nowe książkie czeskie. *g)* Czynności towarzystwa muzealnego (nié ma o nich spominki, tylko o składce do społeczności Matki czeskiéj, ku wydawaniu jéj kosztem dzieł czesko-sławiańskich). *A.*

Koncert Karola Lipińskiego w Wiédniu. Lipiński przybył do Wiédnia, piérwszy raz pod względem artystowskim, i wyprawił koncert d. 4. b. m. w godzinach południowych, w małéj sali redutowéj. Zbieg publiczności był nadzwyczajny, oczekiwanie do najwyższego stopnia posunione. Jeszcze nie zagrał, a już z hucznémi przyjęto go oklaskami, które zdawały się nie mieć końca, tak uprzedzonych sławą artysty powszechny zapał zajmował wszystkich słuchaczy. Różne pisma wiedeńskie, spominając z uniesieniem o tym koncercie, donoszą, iż Lipiński był w ogóle jedenaście razy przywoływany. Grał same własne utwory: *Concert militaire*, waryjacije na Rossyniego *Ecco ridente il ciela*, a na zakończenie fantazyję z tematu opery *Sonnambula*. W końcu mówiąc też pisma o grze Lipińskiego, nie robią żadnego porównania z Paganinim i owszem biorą to za zasadę: że jenijusz jest samobytny, rodzimy i swoją własną, twórczą ukształca się drogą.

Dnia 24. czerwca ma być w Moguncyi wystawiony pomnik Jan. Ch. Guttenbergowi, wynalazcy sztuki drukarskiéj. Dyrektor odlewni w Paryżu, sławny Croizier, który lał żelazny posąg do tego pomnika, kazał sobie li zapłacić 25.000 fr. wydatków, honoraryjum zaś przyjąć nie chciał; podobnie jak wielki Thorwaldsen, który wyborny model do tego pomnika zrobił także bezpłatnie, i tylko mu koszta wynagrodzono. Uroczystość poświęcenia pomnika, na którą deputacyje z całych Niemiec i Francyi spodziéwane, dwa dni trwać będzie.

W Radomiu (w Królestwie Polskiém) umarł dnia 19. marca b. r. Maciej Machowski, służący, przeżywszy lat 97, który przez to szczególniéj na miłe zasługuje spomnienie, iż blizko lat 60 u jednéj zostając familii, do ostatniéj, śmierć poprzedzającéj choroby, zawsze był czynnym i użytecznym. (K.W.)

Młody lekarz z Czech, dr. Helfer, powziął przed dwoma laty zamiar szukania szczęścia na Wschodzie. Z przyjemną małżonką swoją, która duch męzki z delikatnością kobiecą i z wielkiém ukształceniem połącza, opuścił ojczyznę, i najprzód udał się do Smyrny, gdzie się zapoznał z dwoma książętami z Afghanistanu, którzy mu zaprojektowali, ażeby wszedł w ich służbę i podróż z nimi odprawiał. Odważna młoda jego małżonka przywdziała w téj podróży męzki wschodni ubior. W Bagdadzie zniknęli gdzieś owi mniemani książęta, a dr. Helfer, zaopatrzony w listy zalecające od kapitana Chesney, sam odprawiał dalszą podróż do Kalkuty, gdzie radzono mu szukać miejsca dla siebie, a że małżonka jego w możnym i wiele wpływu mającym jenerale Allard przypadkiem znajomego znalazła, więc pod opieką tegoż udało mu się, jako badacz natury, wstąpić w służbę angielskiego rządu, który wyznaczył mu rocznej płacy 1.200 funt. sztrl. (12.000 złr. m. k.) Już w charakterze badacza udał się z małżonką swoją w głąb kraju, ku zwiédzeniu nieznanych okolic. Drugi młody lekarz czeski i przyjaciel dra. Helfera, dr. Hermann Schmidt, powziął także podobny zamiar. Udał się przez Smyrnę do Konstantynopola, tam zaopatrzył się tureckiemi i perskiemi firmanami i z tamtąd do Trebizondy pojechał.

W Gandawie odbyła się świetna wystawa płodów ogrodniczych, nadesłanych tamże ze wszystkich części Europy. Było razem 6.000 roślin, których wartość na milijon franków ceniono. Jednę *kamelije* sprzedano za *dwanaście tysięcy* franków.

W starém rękopismie z r. 1559, pod tytułem: *Sepulture des Preux*, przechowywaném w klasztorze dominikanów w Mallorka, ma się zawiérać dowód, że Napoleon Buonaparte z rodziny balearskiéj pochodzi, któréj członek jeden, Hugo Buonaparte, był na czele rządu w Korsyce r. 1411. W istocie w kościele onym jest jeden Buonaparte pochowany.

We Francyi założono teraz na akcyje szkołę usposobienia psów do polowania.

Znamiona czasu! Dom Szekspira (w Anglii) zrównano z ziemią, dla prowadzenia tamtędy kolei żelaznéj. Właściciel kazał dawniéj już ściąć ostatnie przez tego poetę zasadzone drzewo, dla robienia z niego tak zwanych: tabakierek Szekspira, z czego zebrał kilka tysięcy funtów szterlingów dochodu.

Wyrokiem cesarza chińskiego, datowanym z Tonkienu d. 23. listop. r. 1836, nakazano wszystkim kupcom i handlarzom *barbarzyńców*, to jest Europejczyków, ażeby Kanton w dniach czternastu opuścili. Zarzucano im, że prowadzeniem handlu przemytniczego wyciągali z kraju pieniądze. Smutne widoki dla miłośników herbaty!

Rzadki przyjaciel. Dwóch młodych malarzy, doskonalących się w jednéj pracowni, zawarło z sobą wkrótce szczerą przyjaźń, sztuka albowiem jest nieprzezwyciężonym węzłem sympatyi. Obaj ubiegali się za jednym celem, za sławą. Lubo równi w talencie, jeden z nich miał jednak więcéj nadziei widzieć swe życzenie spełnioném, gdyż posiadając majątek, nie potrzebował słuchac głosu niedostatku, podczas gdy drugi był zmuszonym robić rzemiosło z swéj sztuki, do czego głód go przynaglał. Majętny domyślawszy się wkrótce, jak smutném było ubogiego przyjaciela jego położenie, nalegał kilkakrotnie na tegoż, by pomoc jego przyjął, ale ten z dumy, któréj pokonać nie był w stanie, żadnego wsparcia przyjąć nie chciał. Został mu tylko jeden

środek do chwilowego opędzenia potrzeb, to jest: postanowił sprzedać ostatni swój obraz. Ale tu powstała niepokojąca go wątpliwość, czy znajdzie kogo, ktoby ów obraz chciał nabyć za cenę odpowiednią tegoż wartości? Powierza go przyjacielowi do spieniężenia i w istocie nazajutrz zaraz otrzymuje zań tysiąc frank. gotowizną, a uradowany tak dobrą sprzedażą, zapomniał się nawet spytać o nazwisko tego, kto jego obraz kupił. Cztéry lat upływa, przyjaciele rozłączają się, i każdy miał już sławę w świecie artystowskim, gdy dnia pewnego jeden z nich, ów dawniéj uboższy, dostaje list następujący: »Kochany Gerardzie! Przed cztérma laty »kupiłem od ciebie obraz, za który tysiąc franków za»płaciłem. Jeden z miłośników sztuki widział go w mo»jéj pracowni i dał mi zań 10.000 frank. Przesyłam ci »więc kwit na resztę 9.000 frank., które sobie w banku »odbierzesz. Twój wierny przyjaciel Isabey.« Takby się wszyscy artyści (jeźli są nimi) szacować powinni! Wiadomo, że nie dawno umarł jeden z tych przyjaciół, Gerard, który poźniej był baronem i członkiem akademii.

Największe kuglarstwo Pinettego. Sławny kuglarz Pinetti wezwany był raz przez cesarzowę Katarzynę, by pokazał największą ze sztuk swoich. Przybywszy do niego zaproszona w tym celu, wprowadzoną została do obitego kirem pokoju, oświéconego mnóstwem świateł. W kącie stało drewniane do szubienicy podobne rusztowanie, na którém z przerażeniem cesarzowéj Pinetti wisiał. Po chwili odrywa sobie jednę nogę, potém drugą, dalej ramiona, głowę, a w końcu tułów spadłszy na ziemię, połącza się z oddzielonémi członkami; tym sposobem odżywszy Pinetti, przedstawił się cesarzowéj w dawnéj swojej postaci. Sztuka ta była również mamiącą, jak okropną. Katarzyna hojnie udarowała kuglarza, lecz rozkazała mu zarazem, by niezwłocznie jéj państwo opuścił.

Posłowie madagaskarscy w Paryżu. W Ovas (na wyspie madagaskarskiéj) panująca królowa, wysłała poselstwo do Europy, które właśnie do Paryża przybyło. Posłowie przywieźli do króla Francuzów list od królowéj, z którego treści okazuje się, że ta życzy sobie z Francyją zawrzeć przymierze handlowe. Chce także zapewnić sobie przyjaźń i życzliwość rządu francuzkiego, a przytém zabezpieczyć się od ponawianych tak często od r. 1626 usiłowań ze strony Francuzów, zakładania osad w Madagaskarze, co już tyle kosztowało ludzi, że ztąd powstało nawet przysłowie: »Madagaskar jest cmentarzem Francuzów.« Poselstwo składa sześć osób, to jest: »Książę *Andryant Sitohajna*, pułkownik; *Andryant Seheno*, podpułkownik i oficer pałacowy; *Ramaan Roalsina*, podpułkownik; *Ranera*, major; *Rusatranabo* i książę *Harolahy*, obaj dyrektorowie szkoł. Wszyscy mówią bardzo płynie po angielsku i tymto językiem król i rodzina królewska rozmawiali z nimi przy posłuchaniu. Ci Madagaskarczykowie są dobrze zbudowani i słusznego wzrostu. Mają oliwkowy kolor twarzy, włosy wełniste, nos wklęsły. Jeden z posłów jest czarny i ma grube usta, tudzież kędzierzawe włosy Kafrów. Czarni zdają się być właściwymi krajowcami wyspy. Malgachowie sąto zdobywcy, którzy od dawna władzę rządu opanowali. Jestto plemię o wiele inne przechodzące przemysłem, żywością i odwagą. Ubior, w którym posłowie u dworu wystąpili, nie był niestety ich narodowy, lecz europejski. Mieli na sobie czarne fraki, czarne pantalijony, takież jedwabne pończochy, złote sprzączki i glancowane rękawiczki na ciemnych rękach. Religija Madagaskarczyków jest z rodzaju deizmu, pomieszanego z przesądnémi zwyczajami i fetyzmem Afrykanów. W ogóle mało są nabożni i rzadko o Bogu myślą. W potrzebie do swojego dobrego ducha błagalne zasyłają modły. Wielu z nich nawrócili missyjonarze na wiarę chrześcijańską. Nawet pomiędzy posłami ma się dwóch chrześcijan znajdować. Chrześcijanie nie doznają tam jednak wolności wiary, i często, dla uniknienia prześladowań, muszą kryć się nawet, jak w pierwszych wiekach kościoła. Zmarły król Radama był w tym względzie spaniałomyślniéjszy od swoich następców. Pozwolił missyjonarzom angielskim założyć drukarnię, dla odbijania biblii, tłumaczonéj na język madagaskarski. Terazniéjsza zaś królowa wydała rozkaz spalenia wszystkich biblij, jakie się znajdą. Madagaskarczykowie dopiéro od lat 25 mają język pismienny. Winni to missyjonarzom, którzy ich pisać nauczyli i na zasadach ustalili język narodowy. Teraz krajowcy swój język łacińskiemi piszą głoskami. Posłowie prowadzą dziennik, w którym regularnie i szczegółowo, tak w angielskim, jakotéż w madagaskarskim języku, spisują spostrzeżenia swoje i wypadki. Za powrotem muszą ten dziennik królowéj przedłożyć. Uwagi ich są często bardzo trafne, dobre, krytyczne, a nawet żartobliwe i dowcipne. Gdy zwiedzali pałac królewski, między innemi pokazywano im także posąg srebrny, który miasto Paryż cesarzowi Napoleonowi po wyprawie z r. 1805 wystawiło. Jeden z Madagaskarczyków zapytał, czy ten posąg lany? Otrzymawszy przeczącą odpowiedź, opowiadał, że u nich na pomnik dla króla Radamy stopiono w srebrze 30.000 (około 400.000 fr.) i widać było, z jakiém o tem samolubstwem wspominał. Inną razą zaprowadzono ich na bal do sali *Ventadour*. Bogato brylantami ozdobiona dama przechodziła koło nich. P. Rey, towarzysz Madagaskarczyków, rzekł: »Patrzcie panowie na tę damę, jéj brylanty więcéj są warte, niźli 200.000 fr.« — »Widzę,« odrzekł jeden z poselstwa, »i nie dziwuję się teraz, że u was ludzie tak bardzo ubiegają się za zaszczytami i pieniędzmi. Ileżto zaszczytów i pieniędzy musi nazbierać człowiek, za nim tyle tysięcy piastrów będzie w stanie poświęcić na ubranie głowy swéj żony!«

Trafne odpowiedzi. »Co jest właściwie filozofija?« zapytała piękna księżna C* pewnego młodego uczonego. »Filozofija,« odpowiedział z lekkim ukłonem uczony, »jestto być w towarzystwie księżnéj pani, a przytomności nie stracić.«

Wolter mówił malarzowi Vernet wiele pochlebnych rzeczy o kolorycie jego obrazów. Vernet odpowiedział: »Koloryt ten prędzéj jednak spełznie, niźli atrament wćpana.«

Dr. Balgui (słynny kaznodzieja) miał raz w kościele katedralnym w Windchester kazanie na text: »Wszelka wiedza ludzka jest próżnością.« Nazajutrz dr. Warton przysłał mu następujące dwa wiersze:

»Że wiedza jest próżnością, wyrzekłeś kapłanie,
»Lecz kto cię wczoraj słyszał inne powziął zdanie.

Spominając o *Fizijonomice* Lavatera rzekł Lichtenberg: »W istocie, bardzo wiele uczynił on w tym względzie; więcéj znajduje w *nosach* naszych terazniéjszych autorów, niźli wszyscy rozsądni ludzie w ich *pismach*.«

Wiadomość literacka. *Główne zdanie sprawy o powszechnéj wystawie wyrobów rękodzielniczych*, odbytéj w Wiedniu r. 1835, jest w języku niemieckim do sprzedania w wiedeńskiéj rządowéj drukarni, za 40 kr. m. k.

Sprostowanie. W ostatnim (18.) Nrze Rozmait. na str. 140, przed. 2giéj, wiér. 3cim, zamiast *ky*, czytać: by; na str. 142, przed. 2giej, wiér. 5m, zamiast *szuka*, czytać sztuka; na str. 143, przed. 2giéj, wiér. 11tym, zamiast: 5375, powinno być: 2375.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*